

ROZDZIAŁ I

HELGEN

O rk stał naprzeciw ozdobnych drzwi wejściowych do krasnego budynku lub rezydencji. Chciał już pociągnąć za mosiężną klamkę, lecz wtedy odzwierny uprzedził go, kłaniając się nisko, i promiennie uśmiechając, zaprosił go do środka. Wewnątrz ujrzano okazały westybul, pięknie rzeźbione kolumny, urzekające płótna na murach i suto zastawione stoły, zapraszające gości do skosztowania najpyszniejszych posiłków, jakie kiedykolwiek widział. Przypuszczał, że znajdował się tu pierwszy raz, jednak z jakichś względów czuł się jak u siebie w domu. Skinął głową, witając się z magiem, który widząc go, powstał szybko i dygnął nieporadnie. Następnie przeszedł do kolejnego pomieszczenia, gdzie długie schody prowadziły wśród kunsztownych balustrad oraz świeżych róż, kwitnących tak zjawiskowo, że można było pomyśleć, iż nie zostały nigdy ścięte, lecz wciąż znajdowały się na anielskiej łące opromienionej słońcem. Pokonując ostatni stopień, dotarł do sali, w której ściany pokrywały srebrne, wysadzone diamentami insygnia, a także chorągwie zbrojne pamiętające czasy najwspanialszych bitew. Teraz, wisząc majestatycznie, zaświadczały o dumnej tradycji.

Wówczas jeden ze sług w nienagannie skrojonej szacie wskazał na niego, dając do zrozumienia, że pragnie mu coś przekazać. Później służący odsunął się, robiąc kilka kroków, by odsłonić wyciosany z przedniej jakości mamucich kłów imponujący tron okazałych rozmiarów, a następnie gestem taktownie zaprosił orka, aby spoczął na miejscu dla władcy. Orsimer zdziwił się nasamprzód propozycją ordynansa, jednakże nie śmiał oponować i po chwili wahania usiadł na wyjątkowym siedzisku, które okazało się wyłożone miękkim, burgundowym aksamitem, przez co zdawało mu się, że zapada się pod własnym ciężarem. Przywykł jednak do jedwabistego wykończenia, dotykając delikatnie oparcia, i z rozkoszą przyglądał się poddanym usłużnie oddającym mu honory. Domyślił się, że jest arcyważną postacią w królestwie, być może samym monarchą, toteż powziął szybko decyzję, aby wydać swą pierwszą komendę, obserwując wnikliwie jej wykonanie. Zwrócił się w kierunku ubogiej posługaczki i rozkazał wyniosłym tembrem głosu, ażeby ją podskakiwać jak małpka. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że ta bezzwłocznie poczęła figlować po całej sali, wydając zabawne dźwięki, podjadając owoce z łąwy

i trącając zgromadzonych, którzy wybuchnęli śmiechem. Król również zaśmiewał się do rozpuku, a zachęcony sukcesem zdecydował, by ponownie zakomenderować, lecz chichoty dworzan nie cichły i jego wysokość nie był w stanie ich przekrzyczeć.

Natenczas zmiarkował się, że podkomendni naigrawają się właśnie z niego, bowiem stało się oczywistym, gdy spojrzął w dół, że nie miał na sobie odzienia. Wychodził ze skóry, aby zasłonić się przed ich wzrokiem, acz jego niewprawne próby skutkowały tym głośniejszymi drwinami. Raptem nagi ork zaczął osuwać się z tronu, by spaść z komfortowego siedzenia, a następnie struchlały tonął dalej – w podłodze, piwnicy, fundamentach pałacu, wilgotnym gruncie, aż koniec końców otoczył go absolutny mrok. Przelękniony nie orientował się, gdzie się znajduje ani co powinien czynić. Jeszcze przed chwilą był koronowaną głową, rządził wygodnie podległymi mu ludźmi, zaś teraz pojawił się w nieoświetlonym, podejrzanym miejscu, osaczony przez ciemność tak gęstą, że nie dostrzegał czubka własnego nosa. Lamentując nad parszywym losem, wzywał wszystkie świętości, prosząc je o wybaczenie dawno popełnionych win, jak również by ulitowały się nad biednym orkiem i zabrały go z tego padołu łez. Modlitwy i zawodzenia musiały zostać wysłuchane, ponieważ ujrzał wyłaniające się z czerni indywiduum, którym okazał się dobrze znany mu szczwany lis – Ma'dran.

– Czy ciebie też bogowie wrzucili do czeluści piekielnych? – spytał bez pomysłu zapłakany ork.

– Wprost przeciwnie – odrzekł tamten i zaśmiał się swym wysokim głosem. – Khajiit jest dla ciebie niczym Pan Światła i Pan Cienia. Ork udał się za Khajiitem do Skyrim i skończył w Mroku. Nie dzieje się nic, co nie byłoby przepowiedziane – powiedział enigmatycznie, zacierając ręce.

– Wybacz, ale nie rozumiem. O jakim świetle i cieniu mówisz? Jakie proroctwo zostało ogłoszone?

– Chwilowo będziesz w Ciemnościach, ale jeśli pójdziesz za podszeptem Opatrzności, odzyskasz swój tron i otrzymasz znacznie więcej – przemówił równie niejasno jak wcześniej, ignorując pytania Orsimera. – Jeszcze się spotkamy – dodał.

– Oczywiście, kocie. Nie dotarliśmy wszakże z karawaną do miejsca przeznaczenia. Na pewno się zobaczymy.

Khajiit już odchodził, by zanurzyć się w mrocznym morzu pustki, jednak po słowach orka zatrzymał się i z wolna odwrócił twarz w jego stronę. Uśmiechnąwszy się filuternie, jak miał w zwyczaju

to czynić, zwłaszcza wtedy, gdy oddawał się rzemiosłu kupieckiemu lub gdy nagabywał przypadkowych poszukiwaczy przygód, oznajmił:

– Głupiś. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Tymczasem podążaj za Światłem. – I rozpląnął się w powietrzu.

Obudziwszy się w namiocie na posłaniu z siana, zlany potem ork nie był pewien, czy z dziwnego snu wyrwało go hałaśliwe chrapanie Ma'jhada, czy jasny blask Massera na nocnym niebie, którego świetlistość przeważała nad drugim księżycem, Secundą, i migotliwymi gwiazdami na sklepieniu niebieskim, a ponadto oslepiła zmrużone, niewyspane oczy przemęczonego tragarza. Przez moment próbował rozważać znaczenie koszmaru, jednak doszedł do wniosku, że słabo rozeznawał się w interpretacji marzeń sennych. Wychował się toć w mieście, dlatego obce były mu sztuki tajemne, takie jak prowadzenie rozmów ze zmarłymi przodkami, czytanie z wnętrzości tudzież warzenie mikstur, a po krótkim namyśle ustalił, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie potrafilyby objaśniać przesłania majaków nawet wówczas, gdyby dorastał w twierdzy, tak jak większość orków. Te położone w dziczy fortyfikacje stanowiły ustronne schronienia, w których jego krajanie żyli zgodnie z własną zwyczajowością, oddawali cześć własnym bóstwom i nie angażowali się w sprawy wielkiego świata. Słyszał kiedyś, że w owych odległych azylach sztukmistrzostwem zajmowały się wyłącznie orkowe samice, będące matkami wodzów, i zapewne tylko one byłyby w stanie wypowiedzieć się na temat nawiedzającej go zmory. Nie spotkał atoli żadnej wieszczki; co najwyżej kilku przepędzonych z fortec ziomeków nie akceptujących prastarych obyczajów i zadających kłam sławetnej wśród orków enuncjacji, zgodnie z którą: „jeśli coś nie jest warte walki i przelanej krwi, nie jest też godne uwagi”.

Tak oto dumając nad rytuałami swych braci oraz dolą współplemieńców banitów, puścił w niepamięć marzenia o królewskim tronie i ezoteryczne wypowiedzi Ma'drana, po czym obrócił się na drugi bok i rozpląwał się nad płynącym po nieboskłonie lśnieniem. Skrzący się lazuruowy księżyc, który wedle legend oderwał się od ciała boga Lorkhana, zalewał światłem wydatną część nieba, jak również przewodzony przez Khajiitów tabor. Ork wpatrywał się jak zahipnotyzowany w rozjarzoną, cudną łunę, gdy wnet przyszło mu coś do głowy. Usiadł flegmatycznie na posłaniu i ze zdumienia przetaił oczy. Ponownie otaksował wzrokiem krystaliczną kulę na tle ciemnego firmamentu, delikatnie szarzejącego nieopodal linii horyzontu wskutek wschodzącego leniwie słońca.

– Cóż to ma znaczyć, u licha?! Czyż Masser nie powinien iluminować bładoczerwonym lustrem? Dlaczego szkli się w niebieskawym odcieniu? – wymamrotał.

Postanowił obudzić Bretona, aby ten również włączył się w problem, ale odkrył, że kumoter nie spał w swoim legowisku – zniknął.

– A ten gdzie wywędrował? Ma'jhadzie! Zbudźże się! – Potrząsał Khajiitem, by pokazać mu osobliwą kulę światła.

– Mmm... Dzban jaggi dobry niczym mleko kocięj matki... – ogłosił wszem i wobec koto-człowiek, podłożył łapę pod głowę i drzemał dalej.

– Niech to dunder świśnie! – zaklął niestosownie ork. – Wygląda na to, że istotnie będę spieszyl za światłem, tak jak chciała tego mara! – powiedział, po czym wyszedł z namiotu na świeże powietrze i zadarł głowę, spoglądając o brzasku na cuda dziejące się nad nim.

Najbardziej zaskoczyła go obecność dwóch zachodzących księżyców, Massera i Secundy, daleko ponad górami, które z mozołem pokonała wczoraj grupa. Oznaczało to, jak wprawnie wydedukował, że chabrowy obiekt nad obozowiskiem nie był żadnym z tych ciał niebieskich; co więcej, nie przypominał on komety, spadającej gwiazdy, niezmiernie jasnej zorzy ani innych zjawisk rozgrywających się w przestworzach. Deliberując nad modrym kuriozum, uznał wreszcie, że miał do czynienia z rzadkim pociskiem magicznym, a w przekonaniu tym utwierdził go fakt, że dziwowisko zaraz zgasło, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Naraz z gęstowia wyskoczył Breton i bezceremonialnie rzucił do towarzysza:

– Dzień dobry! Właśnie nastał nowy dzień.

– Widziałeś to światło wznoszące się na niebie? – zapytał ork. – To pewnie jakaś magia, ale czyja?

– Oddaliłem się od obozu za potrzebą i obawiam się, że niczego nie dostrzegłem – uciął wyraźnie zmieszany pytaniem Breton, a następnie poczłapał do koczowiska.

Zajrzał ostrożnie do każdego namiotu i upewniwszy się, że Khajiici nadal śpią, odszedł na wznie-sienie i gorączkowo spozierał w pustą przestrzeń na trakcie. Orsimer został zupełnie zbity z pantałyku niezrozumiałym zachowaniem kolegi i pomyślał nawet, że nadal śni. Uszczypnąwszy się, nieco otrzeź-wiał, jednak ciągle jego umysł wypełniała pustka, zupełnie jak wtedy, gdy jako młody chłopiec był odpytywany przez złośliwego, podstarzałego belfra z historii Cesarstwa, ze szczególnym uwzględnieniem rządów Uriela Septima III, co wzięwszy pod uwagę liczbę cesarzy Tamriel, stanowiło kroplę w morzu rozmaitych wydarzeń, spisków i tajemnych mordów.

Ten dzionek w istocie rozpoczął się tak, jakby wypadkami dyrygował sam Sheogorath, daedrycz-ny Książę Obłądu. Najpierw orkowi zwidział się janusowy Ma'dran, przemawiający niedocieczonymi

łamiągówkami; później w atmosferze lewitował czar niedookreślonej proveniencji, zaś teraz Breton wyglądał jak opętany. Skołowany Orsimer skłaniał się do przyjęcia tłumaczenia, że od mroźnej pogody dostał pomieszania zmysłów albo że zaraził się jakimś chorobskim od trolla i doznawał przywidzeń. Oba wyjaśnienia prezentowały się nader mało wiarygodnie, toteż uradził, by powrócić do obozu i umoczyć dziób w cyrodiiliańskiej brandy, a później wziąć kurs na bystrą krynicę i zanurzyć także w niej szwankującą łepetynę. Rozdarł jeden z worków w poszukiwaniu szlachetnego trunku, jednakowoż małe buteleczki o ametystowym zabarwieniu nie zatęczały imperialnym alkoholem, lecz rozaczały delikatną, cukierkową woń, podobną do zapachu zupy przyrządzonej poprzedniego dnia przez Ra'zhindę. Ślęcząc tak nad flaszką egzotycznego napoju, głowił się nad tym, dlaczego był ponaglany, by przedźwigać przez ostre szczyty kompletny ładunek frymuśnej substancji, bowiem skalkulował, że tylko w jego miechu Khajiitowie upchnęli prawie jedną kopę niepokazanych flakonów.

Z zadumy nad mętną mieszaniną wyrwał go okrzyk dochodzący z gościńca; tego samego, który uważnie obserwował skupiony Breton.

– Do kaduka! Tutaj są, łachudry przebrzydłe! – zawołał basem niezidentyfikowany mężczyzna o zachrypniętym głosie.

– Ciszej, Fasendilu! – syknął Breton, stercząc nadal na pagórku.

Najwyraźniej znał on przybysza, gdyż wypowiedział jego imię, zanim ten zdążył się przedstawić.

Wysiłki dawnego pirata były mimo wszystko daremne, bowiem larum podniesione przez przechodnia postawiło Khajiitów na równe nogi. Ma'dran i Ra'zhinda, dostrzegalnie zaaferowani, wybiegli z namiotów, by poznać źródło hałasu, po czym równie bezzwłocznie doskoczyli do śpiącego Ma'jhada i dokładali starań, by wyciągnąć go z betów. W międzyczasie niezajomy, wyszedłszy z porannego półmroku, ukazał się w całej okazałości, a wraz z nim orszak złożony z kilku uzbrojonych żołnierzy Cesarskiego Legionu. Koty, wśród których pojawił się też współprytomny Ma'jhad, wypłyły wnet na oczach zdębiałego orka kredowobiałe mikstury, wydobyte z głębi drewnianego kufra, i w rezultacie ulotniły się jak kamfora. Orsimer poznał, że Khajiitowie stali się niewidzialni, ponieważ uchwycił jeszcze ich przezroczyste sylwetki, gdy przemykali w chaszczach, aż w końcu przepadli w zwartych zaroślach, nawet nie uściskawszy towarzyszy na pożegnanie.

– *Gzalzi vaberzarita maaszi*. Absurd stał się koniecznością, jak mawiają te myszolapy – pomyślał, ciągle trzymając w ręku fioletową buteleczkę, podczas gdy otaczali go wojskowi. – Bretonie, czy miałbyś

wolę, by wyeksplikować, co też się tutaj dzieje? – zapytał ciemnonocnego druha, podnosząc ręce w geście kapitulacji.

Ten zaś, kontent nie wiadomo z czego, odparł:

– Tuś mi, bratku! Przypuszczałem, że czmychniesz jak Khajiitowie, gdy nakryłeś mnie na puszczaniu znaku w powietrze, ale wynika z tego, żeś tępy jak noga stołowa.

– Czyli ta oświetlona sfera była twoim dziełem!? – zawahał się. – Ale dlaczego...?

– Och, przestań dworować sobie z nas! – wzburzył się Breton, zirytowany ignorancją orka, i przystąpił do elfa, dowódcy oddziału. – Widzisz z kim szwendałem się po tych pioruńskich górach?!

– Doprawdy, dorodny okaz kapuścianej głowy! – zarzął Fasendil, a dźwięki wydobywające się z jego zdartego gardła budziły skojarzenia z rechotem żaby albo skrzypieniem nienaoliwionych drzwi. – Zawsze taka z niego safanduła?

– Hola! Za dużo sobie pozwalacie! – Ork również się zbiesił.

Powoli docierało do niego, że stał się ofiarą nieuczciwych interesów Khajiitów. Wciąż nie wiedział tylko, jaką rolę odegrał w ich przedstawieniu on, a także Breton, który porzucił dawną kurtuazję i poczynął sobie niepospolicie bezpretensjonalnie.

– A co możesz zrobić, świński ryju? – grał mu na nosie elf. – Wyrządzisz nam krzywdę?

Orsimer rozejrzał się wokół i chybko orzekł, że komendant drużyny legionistów miał, niestety, słusność. Obstało go pięciu wojaków w skórzanych zbrojach ze szkarłatnymi wstawkami, zbliżonymi kolorem do barw reprezentowanego stronnictwa, jednak niektóre z tych podbić wyblakły po wielokrotnym użyciu i upodobniły się w odcieniu do wnętrzości świeżo złowionego łososa. Wyzwanie stanowił wszelako nie ich ubiór, lecz miecze o stalowych głowniach i drewnianych, acz wytrzymałych trzonach, którymi brali w dwa ognie orka. On sam, przywołując na myśl wczorajsze przeżycia, zwłaszcza zwycięską walkę ze śnieżnym trollem, nie miał we władaniu rynsztunku, jako że jego lichy sztylecik spoczywał w głębokim jak studnia śniegu gór Jerall. Na ironię zakrawał fakt, że nie kto inny jak Ma'dran poradził mu, by zostawił broń, obiecując nowy jej egzemplarz, a teraz jako jeden z pierwszych zwiął jak szczur z tonącego okrętu, porzucając osobę, która uratowała mu życie.

– Obawiam się, że nie wskóram wiele oporem, dlatego wiedzcie, że poddam się, aliści stoję na stanowisku, że jestem czysty jak kryształ – rzekł ork dobrodusznie.

Usiłował zachować stoicki spokój, licząc, że zaszło jakieś niefortunne nieporozumienie i że żołnierze a nuż puszczą go, jeśli będzie układowy.

– Powiadasz, żeś niewinny? Co w takim razie skupiasz w ręku? – pociągnął go za język Breton.

– Suponuję, że to nie cyrodiiliańska brandy – udzielił odpowiedzi.

Robił przy tym maślane oczy, jakby ugodziła go strzała Amora, na co trepy zaniósł się śmiechem. Nie była to reakcja, jakiej oczekiwał, ponieważ wywołała w nim przykre wspomnienie snu, podczas którego z bosego po szyję orka natrzęsali się dla odmiany dworzanie.

– Cisz! – ryknął gromko Fasendil. – W imieniu Cesarza Titusa Mede II aresztuję cię, orku, pod zarzutem szmuglowania niedozwolonych substratów przez granicę Skyrim. Zabrać tego błazna do stacji, bo oszpeca tę piękną panoramę swoją paszczą! – zawyrokował oficer oraz dodał jeszcze kilka niezrozumiałych słów, gdyż charczał.

Jego podkomendni ochoczo zabrali się za wykonanie rozkazu, popychając więźnia i czyniąc niewybredne uwagi na temat jego matki, która powiła takiego stracha na wróble. Apele Orsimera do rozsądku Bretona na niewiele się zdały, bowiem tamten udawał, że zapomniał o zasługach witezia dla członków karawany, a w ogóle sprawiał wrażenie, jakby nigdy się nie spotkali. Sponiewierany ork, doszedłszy do przekonania, że jego los został przeklęty, odkąd opuścił gościnne progi oberży w Prowincji Cesarskiej, odkrył nareszcie, iż rzekome piractwo towarzysza było historią tak samo prawdziwą jak jego przyjaźń z Orsimerem.

Naówczas, gdy żołnierze i więzień odmaszerowali, Breton oraz Fasendil zatrzymali się przy opustoszałym obozie pomiędzy puzdami, szkatułami i workami różnej wielkości, a zajrzawszy do nich, natrafili na circa osiem konwi substancji służących do odurzania się oraz pół cetnara księżycowego cukru do wytwarzania skoomy – narkotyku z Elsweyr, nie licząc reszty moderunku w postaci namiotów, glinianych garnców, sztuców i naczyń, magicznych pergaminów z prostymi inkantacjami, odzieży oraz zwyczajnych ingredientów. Całość zarekwirowanej kontrabandy, zdaniem cesarskiego legata, mogła być warta ponad dwanaście tysięcy septimów, co odpowiadało cenie okazałej rezydencji w dużym mieście Skyrim, choć może bez umeblowania. W dalszej kolejności podzielili pozostawiony przez Khajiitów dobytek, uzgadniając, że po część wrócą później, albowiem skonfiskowane mienie nie zmieści się w jednym juku. Wiarus – zmarkotniały na wieść Bretona, że fragment ładunku obrócił się wniwecz, kiedy kot wpadł wraz z ciężarem do uskoku – przyprowadził gniadego ogiera z chrapką na pysku, na którego narzucił sak z nieliczną porcją przemytu.

– W kwestii twojej zapłaty... – podjął nieśmiało temat elf, zwracając się do Bretona.

– Właśnie chciałem odnieść się do tego problemu. Dobrze, że czynisz to jako pierwszy, bo jeszcze wyszedłbym na harpagona. – Uśmiechnął się.

– Otóż to – przytaknął. – Widzisz, muszę ci się z czegoś zwierzyć. Istnieje pewien szkopuł w tej materii.

– Jaki znowu szkopuł?! – chwycił się za głowę Breton, marszcząc z niedowierzaniem brwi. – Poszło prawie tak, jak się umawialiśmy. Dołączyłem do karawany w Cyrodiil, pomogłem im tarabanić te cholerne pakunki, a w Skyrim dałem wam sygnał, byście wkroczyli! – wyliczał. – Jeżeli jakaś drobna strata wyprowadza cię z równowagi, to wiedz, że mało brakowało, a wszyscy kopnęlibyśmy przez tego trolla w kalendarz, a wtedy nici ze wspólnych interesów!

– Nie w tym rzecz – odpowiedział na zarzuty Fasendil, zerkając bez emocji w kierunku oślepiającej tarczy słonecznej, wznoszącej się ponad widnokrąg.

– To w czym?! Powiesz mi wreszcie?

Breton poczuł nagłe ukłucie w podbrzuszu, ale ból przyszedł dopiero po chwili. Osuwając się na ziemię, dojrzał krew sączącą się z rany, a gdy już upadł, chciał jeszcze wykrztusić ostatkiem sił to, co sądzi o zdrajcy. Nim wszakże zdążył wyartykułować pierwsze wulgarne słowo, elf zadał następne cięcie, wyprawiając partnera na tamten świat. W cieniu rzucanym przez gonną sosnę legionista wytarł miecz z posoki, a później wznosił go ku jutrzeńkowym promieniom słońca, sprawdzając, czy na ostrzu pozostał jakiś ślad. Upewniwszy się, że rękojeść i głownia były czyste, jako że zoczył na klindze odbicie swojej zmarszczonej twarzy, wetknął broń do pochwy i dosiadł skubiącego trawę wierzchowca. Wkrótce poklepał go, jakby dodając otuchy konisku, które było świadkiem bezecnego wiarołomstwa, a podnosząc wzrok, popatrzył mimowolnie na nieruchome ciało; do południa nie zostanie z niego strzęp skóry, gdyż bez wątpliwości rozszarpie je zwierzyzna. Miał świadomość, że zmuszony będzie powrócić do zagaju, by pozabierać resztę rzeczy, lecz właśnie teraz zapragnął skomentować ostatni dylemat zmarłego – nie tyle dla spokoju sumienia, co raczej z czystej pychy.

– Rzecz w tym, Bretonie, że trzech przemytników zacięło rączego i z racji tej nie zdasz się po raz wtóry do roli fałszywego najemnika – zaznaczył niewyraźnym głosem. – Co ważniejsze, przedkładam dwanaście tysięcy sztuk złota nad sześć tysięcy, które miał zainkasować każdy z nas. Dlatego zwracam honor, ponieważ nie był z ciebie taki znowu chytrus, jak utrzymywałeś.

Dowódca zakończył przemowę nad stygnącym truchłem, po czym smagnał grzbiet konia rzemieniem i pognał w te pędy do kwatery, kłusując między wyschłymi wykrotami w mroku rozpostartym pośród zboczy rosnących wzgórz.

Orka wtrącono do lochu tak zawilgoconego, że na ścianach zaczęły wyrastać jakieś dziwne grzyby, a z sufitu zwisał zielony mech. Pokrzepiał się myślą, że gdyby legionieści usiłowali morzyć go głodem, wyżywienia w celi miałyby pod dostatkiem, podobnie jak wody spływającej obficie po kamiennych blokach. Sam karcer nie wyróżniał się niczym szczególnym – dwie słomiane prycze przykryte zwierzęcymi skórami i zamknięta na cztery spusty krata, a za nią siedzący przy prostym, drewnianym stoliku strażnik, który czytał książkę, zalewaną migotliwym światłem łójówki, i od czasu do czasu, napotkawszy szalenie zajmujący ustęp, klepał trzy po trzy: „Och, to ci dopiero twardy orzech do zgryzienia!” albo „Cha, cha! Ale granda! On też był wampirem!”.

Patrząc na puste posłanie, Orsimer żywił nadzieję, że niemiłosierną nudę przerwie przybycie współwięźnia, lecz nikt go nie poinformował, czy to kiedykolwiek nastąpi, dlatego zawrzała do argusa:

– Hej, cerberze! Ta monotonia mnie zabija! Dołączycie jakiegoś skazańca, cobym nie gnuśniał w samotności?

– Przeskrobałeś, to teraz cierp – wypowiedział się lapidarnie klawisz i wrócił do przerwanej lektury.

Ork pomyślał, że dekoncentrowanie żołnierza mogłoby stanowić urozmaicenie pobytu w odwachu, więc znowu zagrzmał:

– Tyle razy tłumaczyłem, że jestem niewinny! Nawet nie orientuję się, czym jest ta cała skooma!
– Zaśmiewał się w duchu, widząc, że auksylariusz znów podnosi wzrok znad kartek. – Taki ze mnie przemytnik jak z koziego ogona waltornia!

– Przestańże wreszcie głądzić! – wycedził przez zęby wojskowy, podkreślając przesadnie pauzy pomiędzy wyrazami. – Chcesz mieć rozrywkę? – zapytał sardonicznie, kłapnął księgą i podsunął się do kamery. – Proszę bardzo: gdybyś był de facto winny szwarcowaniu, miałbyś większą szansę, by się stąd wykaraskać. Skoro jednak deklarujesz, żeś bezgrzeszny, marny twój los.

– Jakżeż to? Łżesz, aż się kurzy – kpinkował ork.

– Nasz legat, jak pewnieś spostrzegł, odnalazł genialny sposób, aby nieco nabić kabzę. Gromowładni podnoszą chorągiew buntu we Wschodniej Marchii, toteż nikt nie ma czasu, by upilnować drobnych szwindli – tłumaczył, zatonawszy spojrzeniem w więziennych łańcuchach orka, rozpruwających się w kilku miejscach.

– Kim są gromowładni? – spytał osadzony.

– Banda barbarzyńców, którym nie podoba się Cesarstwo. Obskuranci jak ty i ci twoi śmierdzący bracia z twierdz.

– A niech cię! – Kajdaniarz zagotował się i z bezsilności kopnął kratę, zaś ta zadźwięczała w podziemiach.

– Ogarnij to swoim zacofanym rozumem, abderyto! – podniósł głos wartownik, starając się przykrócić cugli delikwentowi. – Im więcej przemytników pojmiemy, tym mniej będzie ich na wolności! Każdy przechwycony transport to dochód dla legata i dla osób potrafiących trzymać język na wodzy, nadążasz?

Legionista przedłożył swoje racje, by następnie wyjść z pomieszczenia, pozostawiając na widoku wolumin o kobaltowej okładce; zapewne w tym celu, ażeby drażnił znużonego więźnia, który nie był w mocy go dosięgnąć.

Ork opadł na prymitywne posłanie, rozważając słowa auksylariusza. Dlaczego stróż zdradził mu ten sekret? Czy nie obawiał się, że po opuszczeniu cytadeli Orsimer doniesie komuś o ich kręactwach? Wbijając wzrok w pajęczynę w rogu celi, po której spacerowało z wolna stworzenie o ośmiu odnóżach, wyczekujące skrzydlatego posiłku, odgrzebał z zakamarków pamięci wspomnienia z młodości, gdy jako lichy gołowąs wdał się w bójkę z Redgardem przekonanym o przewadze jego krajan nad Agronakiem gro-Malogiem, utalentowanym gladiatorem z Areny. W konsekwencji burda zakończyła się interwencją strażników miejskich; odprowadzili oni porywczego wyrostka do więzienia w stolicy Imperium, gdzie spędził raptem jedną dobę. O ile dobrze przypominał sobie tamten incydent, stołeczne kazamaty nie odbiegały dalece pod względem warunków od ciemnicy, w której obecnie przebywał, jednak w Cesar skim Mieście, przed wtrąceniem go do kozy, referendarz wyłuszczył podsądnemu zarzuty, a także czarno na białym zaawizował długość kary. Niektórym przyjeźdnym serce Tamriel wydawało się zanadto rozległe, zaś poszczególne dzielnice zbyt mocno rozdzielone murem i odrzwiami jak dęby, co nasuwało myśl, że ktoś usiłował zhierarchizować mieszkańców albo zamaskować co za mamucią przegrodą, aliści w większym stopniu niż w Skyrim poważano tam prawo i cesarskie dekryty. W ojczyźnie Nordów, jak

należy wnioskować, byle zwierzchnik zastępu żołnierzyków czuł się jak pan na włościach i nie uważał za stosowne liczyć się z ukazami.

– Czego toż spodziewać się po mandatariuszu, który połowę życia wywijał mieczem, a teraz snuje intrygi? Chyba już tylko tego, że ta przechera, że ten farmazon dożywotnio pograży porządnego, prostolinijnego imigranta – zafrasował się ork. – Oby nie! W innym wypadku nie będę mógł odplacić Bretonowi pięknym za nadobne – myślał na głos.

Nie był świadomy, że tamtego przeniewiercę, o ironio, spotkał już zasłużony los.

Marząc o niebieskich migdałach i podziwiając pająka, nadal wyczekującego swej ofiary z uporem wartym lepszej sprawy, spędził w izolacji całe przedpołudnie, zaś mniej więcej o godzinie dwunastej do jego miejsca odosobnienia zszedł oddział paru szeregowych legionistów, co poznał zawczasu po dudniących odgłosach podeszew. Uniósł się z niewygodnej pryczy, albowiem niezmiennie karmił się nadzieją, że pozna rychło współlokatora, lecz żołnierze otworzyli zamek i tonem nieznoszącym sprzeciwu kazali mu chybko pójść za nimi. Zlustrował w trymiga ich uzbrojenie i – chcąc nie chcąc – wypełził z nory, wyciągając przed siebie związane przeguby. Wojskowi odmówili oswobodzenia go z oków, po czym od eskortowali orka na zewnątrz, minąwszy po drodze wąskie korytarze oświetlone pochodniami, kwatery oficerów, niezgorszą kantinę wypełnioną ambrożyjskim zapachem miodu oraz kilka pomniejszych izb niewiadomego przeznaczenia. Po opuszczeniu ciemnej twierdzy zmrużył oczy, ponieważ raził go blask słońca, którego nie widział od poranka, jakkolwiek mundurowi nie sfolgowali ani na chwilę i wzięwszy go pod ręce, wrzucili po grubiańsku na wóz i dali znać furmanowi, że zaprzęg może ruszać.

Z ust spostonowanego więźnia wyrwało się kilka niecenzuralnych słów, gdy leżał twarzą do ziemi na drewnianej podłodze, wbijającej się w jego żebra na każdym większym wyboju. Usłyszał wtedy niespodziewanie czyjś życzliwy głos radzący mu, by postarał się wpierw kleknąć, a następnie podźwignąć na nogi. Zadanie to zaliczało się do niezrównanie trudnych na gnającej furze i ze skrępowanymi dłońmi, jednakże po paru podejściach podołał wyzwaniu i przycupnął w kącie, rozglądając się dokoła. Dopiero wówczas dostrzegł trzech spętanych mężczyzn siedzących przy burtach, dzielających najwyraźniej los delikwenta. Jeden z nich, Nord o długich, konopiastych włosach i kilkudniowym zarostie, zamiast turbować się solidarnie, szczyrzył zęby w radosnym uśmiechu.

– Wybacz, że nie posłużyliśmy ci ramieniem, ale jesteśmy bardzo przywiązani do swoich ideałów – zażartował blondyn w futrzanym, a zarazem błękitnym okryciu ochronnym wojownika, spod którego

wystawała cienka kolczuga. – Niedobrze leżakować na twardym podłożu, chyba że jesteś dojrzewającym winem.

– Co? – spytał głupawo ork, ale zaraz zreflektował się i dodał: – O, przepraszam... Dokąd tak właściwie zmierzamy?

– Ha! Wyborne pytanie! – uradował się Nord. – Nie jestem kapłanem, lecz ponoć do Aetheriusa lub Sovngardu, a jak chcą pesymiści: ku zatraceniu. – Zachichotał. – A mówiąc poważnie, nie mam zielonego pojęcia. Na pewno nie do Samotni, żeby wręczyć nam odznaczenia dla wzorowych obywateli.

Do konwersacji włączył się Nord w lnianym, wypłowiałym ubraniu i o obskurnej twarzy złodziejaska nie grzeszącej serdecznością:

– Błazen bez ustanku stroi sobie żarty. To jemu powinni zakneblować usta, a nie tamtemu. – Wskazał na trzeciego mężczyznę, wycierając z potu oblicze czarne jak święta ziemia.

Ostatni więzień był w istocie jedynym, któremu uniemożliwiono zabranie głosu, wpychając mu między wargi stare szmaty i wiążąc opaskę wokół głowy na wysokości ust. Przesiadywał on w pokorze ducha najdalej od dyszla i wydawał się kontemplować co lub modlić się, bowiem ani razu nie wznosił skroni i sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego myślami. Zgorzknialec w średnim wieku odznaczał się tym, że nosił na piersi wyjątkową, połączoną zbroję paradną, okrytą lśniącem futrem i przechodzącą stopniowo w szykowne karwasze wykonane biegle z tego samego materiału. Pancierz ukraszony był w nielicznych miejscach symbolami niedźwiedziej głowy; ork nigdy takich dotąd nie widział.

– Kim jest ten wytworny mruk? – zapytał zbytnika. – I dlaczego ma zawiązane usta?

– Pozwól, że przedstawię – odrzekł, a w jego bławatkowych oczach łysnęła duma. – Jego Miłość Ulfrik Gromowładny, jarl Wichrowego Tronu i jedyny prawdziwy Najwyższy Król Skyrim.

Ork i odstręczający Nord o wygładzie rzezimieszka spojrzeli na siebie osłupieni, zaś strojny mężczyzna uniósł lekko szlachetne lico, subtelnie kiwnął głową na przywitanie, jako że nie mógł ani mówić, ani wykonać innego gestu, po czym wrócił do swej zwyczajnej zadumy.

– Ponownie dowcipkujesz, prawda? – spytał nieco przelęknięty fładrowaty skazaniec.

– Nie w tym wypadku – zaripostował figlarz. – Legioniści nie dozwolili, by przemawiał, bo mógłby celnie zakomunikować im prawdę o plugawym Cesarstwie, któremu służą. Honor był pierwszym słowem wykreślonym przez Imperium z ich słownika – oznajmił podniośle, dając poznać słuchaczom, że nie żartuje.

– Ale to oznacza... – Opryszek, błady jak papier, przeraził się. – Co oni chcą z nami zrobić, na bogów?!

– Rzekłem już, że nie znam się na sprawach duchowych, ale wiem jedno – mówił Inianowłósy – na frasunek najlepsza jest celna facecja i pogodny nastrój – oświadczył, zerkając na rozłożyste konary ponad nierówną drózką, gdzie uwiły sobie gniazda świergoczące wesoło ptaki. – Jak mówiłem, oto Ulfrik, a ja na imię mam Ralof. Chyba się jeszcze nie zaprezentowałem.

Jazda na cesarskim wozie upływała Orsimerowi niewymownie frasobliwie, podobnie zresztą jak przywódcy gromowładnych. Nie dziwota, że jarl przesiadywał kwaśny jak ocet siedmiu złodziei, skoro prawdopodobnie żadna z konwojowanych osób nie przetrwa do zachodu słońca. Ork uznał za pewne, że należy ulotnić się przy pierwszej nadarzającej się ku temu okazji, jednak żadnej sposobności do ucieczki nie było. W ślad za ich furą podążała kolejna, z garstką pojmanyh powstańców, natomiast z każdej strony otaczał ich szczelny pierścień kawalerzystów: sześciu na lewo, sześciu na prawo, czterech z przodu i przynajmniej pięciu na tyłach, których nie dostrzegał wyraźnie. Każdy żołnierz wyposażony był w miecz, kilku w łuki, zaś kawalkadzie przewodziła pani kapitan – przystrojona jak posąg Stendarra w dniu jego święta. W mieniącym się blaskiem srebrnym kirysie, nosząc na hełmie pióropusz, paradowała na czele świty, zwalnając od czasu do czasu, by zganić podwładnych za nieznaczące mankamenty, dając wyraźnie do zrozumienia, że tego poranka rozpoczął się najjaśniejszy dzień w jej karierze. Nie zdarza się wszak codziennie, aby więzić głównego antagonistę cesarskiej władzy, paru jego popleczników, a także dwóch apaszów minorum gentium. Wśród tych ostatnich znajdował się przemytnik, nie zdający sobie sprawy z własnego przewinienia, oraz pospolity grasant.

Chmurny jak noc rabuś o mętnej fizjonomii wystękał, że w okolicy Czarnego Ruczaju usiłował ukraść konia należącego – trudno! mojra niełaskawa! – do wysoko postawionego oficera Cesarskiego Legionu. Jego nieszczęście polegało na tym, że w pobliżu wojacy zaczęli się na gromowładnych, gdyż Ulfrik wizytował swoje włości, a następnie ujęli rebeliantów i potraktowali zbira jako jednego z owych wicherzycieli. W pewnym sensie ork odnalazł w koniokradzie bratnią duszę, ponieważ sam stał się ofiarą nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, rzutkiego Khajiita z długim ogonem oraz dwulicowego

Bretona zarazem. Legata malwersanta, nabijającego się z jego inteligencji, nie chciał nawet przywozić na myśl.

Orsimer sumował się, gdy mijali gęste knieje, z lekka zielone komysze zachodzące mgłą wskutek przymrozków, i nie mające możliwości rozkrzewić się intensywnym szmaragdem, oraz rwące potoki – krystaliczne niczym nieskazitelny kamień szlachetny, przez który przedzierają się snopy światła. Przejrzysta krynica zakręcała to tu, to tam, przecinając niekiedy gościniec usiany niskimi ostrowami wiechliny, zmieniający się wówczas w niewielki, kamienny mostek prowadzący nad modrą rzeczulką. W akompaniamencie tętentu kopyt, uderzających o twardą przeprawę, obserwował przezystą wodę, smagającą z kojącym duszę pluskiem położone na sfałdowanym dnie skały. Pływały w niej lilipucie rybki cieszące się błękitem strumienia, zaś w pobliżu brzegów na wpół zanurzone kraby wygrzewały w ciepłym słońcu zastygłe skorupy maści antracytu i kręcąc niemrawie szczypczykami, kołysały krótkimi czułkami w oczekiwaniu na podpływającą ogonice lub fioletową rzeczną becię. Nieco dalej od ruczaju, w sąsiedztwie pograżonej w mroku jaskini, przysiadł sędziwy cis, na którym swawoliły wiewiórki zbierające spomiędzy igieł amarantowe osnówki, a przez jego ażury przebijał się ku oczom brańców wyniosły masyw górski otulony gdzieś pierzyną białego puchu. Życie w dziczy nieskalanej ludzkim zniszczeniem rozkwitało w najlepsze; mniejsze i większe stworzenia radowały się niemal bezchmurnym niebem.

Uczucie rozkoszy emanującej z tak sielskiego krajobrazu po stokroć odróżniało się od złamanego ducha kajdaniarzy, aż chciało się zakrzyknąć wniebogłosy i porwać przed siebie w kierunku tej szczęśliwości, nie bacząc na butnych legionistów. Wszakże żywot i tak miał się ku końcowi! Wtedy ork na olaboga uradził, by przekuć słowa w czyn. Poniewczasie, niestety.

Kolumna złożona z żołnierzy oraz jeńców wtoczyła się na wytrzymały, brukowany szlak i po chwili w polu widzenia winowajców pojawiły się mury okalające miasto. Ralof wypatrzył stojący przy drodze drewniany znak, który wskazywał kilka kierunków.

– Zmierzamy do Helgen – oznajmił. – Czas zakończyć tę rajzę w udręce, panowie. Niechaj Talos ma nas w opiece – rzekł rzeczowo.

Niedomyty przywłaszczyciel, świadom nadchodzącej śmierci, począł szlochać i wznosić modły ku wszystkim bóstwom przychodzącym mu na myśl. Jarl Ulfrík Gromowładny wyprostował się i lustrował żołnierzy otwierających pokątną bramę do grodu, by następnie odwrócić się i, być może, ostatni raz objąć ojcowskim spojrzeniem podwładnych jadących na drugim wozie. Jedyna szansa, by zrejterować,

przepadła jak kamień rzucony do jeziora, gdy przestąpili wierzeje zawierające się z łoskotem za ich plecami.

Dowodząca kawalkadą kapitan skierowała się ku szpakowatemu legionście na uboczu, a zszedłszy z konia, oddawała honory. Dżentelmen przypuszczalnie niedawno przekroczył wiek męski i sprawiał wrażenie niezwykle statecznego. Jego pociągła, poorana zmarszczkami fizys skrywała głęboko osadzone, podkrążone oczy, z których wзираł spokój i dostojeństwo przysługujące zwykle władcom lub przynajmniej hetmanom. Niecodzienną dystynkcję jegomościa potęgowało jedyne w swoim rodzaju przyodzienie: brunatna zbroja ze skóry jelenia, łączona setnymi nitami jeżącymi się na torsie niczym sierść rozwścieczonego wilka; zdobiona najwyższej próby złotymi ornamentami, płonącymi słonecznym po-blaskiem; wyposażona w chroniące uda taszki, ukraszone roślinnymi motywami; nadto purpurowa peleryna, zwieszająca się na połyskliwym sznurze uwiązany poniżej obojczyka. Pod tym wyszukany okryciem pąsowała tunika stebnowana połączoną nicią, zaś wysoki kołnierz uwydatniał owal twarzy i ostry podbródek mężczyzny. Kapitan, choć starała upiększyć się, jak tylko mogła, prezentowała się w jego towarzystwie niczym łachmaniarz przy wyczelowanym mocarzu, którego szczegóły prezencji grały unisono na miarę fantastycznego ansamblu.

Złotowłosy kpinkarz poznał nobliwego weterana, jednak nie był rozentuzjzmowany ani jego aparycją, ani nawet pobytem legionisty w Helgen:

– Generał Tullius błyszczy się jak oczy szczura po zobaczeniu kawałka stęchłego sera. Wygląda na to, Wasza Miłość, że tego dnia skrzyżują się losy dwóch wodzów – zwrócił się do Ulfrika.

– Ten Tullius dowodzi tu Cesarskim Legionem? – zapytał ork.

– No – prychnął Ralof. – Jest jak zgorzel w otwartej ranie. Niech nie zwiedzie cię jego przychylna powierzchowność – uprzedził, wykrzywiając się w dziwnym grymasie. – Opuścił zamek Dour tylko w jednym celu: aby zasmakować upojenia in persona, gdy głowy jego adwersarzy oddziela się od ich zgasłych ciał – powiedział.

Na te słowa niechlujny szabrownik znów rozpląnął się we łzach, na zmianę biadając, sarkając i odmawiając modlitwy, co wprawiło w gniew gromowładnego o platynowych włosach, który jął wypominać mu, żeby w ostatniej godzinie zachował resztki honoru, pokazując Cesarstwu, że dumni Nordowie nie lękają się śmierci. Reprimenda nie podniosła go szczególnie na duchu, ale zdusiła chociaż głośne zawodzenie, nie odbijające się już echem od ceglanych ścian budynków.

Zaraz sprzężajom ściągnięto lejce, drewniane koła ze stalowymi obręczami przestały się toczyć, spracowane konie przystanęły opodal obmurowania wiodącego do niewysokiej baszty z jednej strony i cytadeli z drugiej, a kondotierzy wrzeszczeli, iżby wysiadać pojedynczo, urągając komu popadnie. Z tyłu fury zatrzymała się kapitan, dumna jak paw, zaś obok niej legionista o kasztanowych włosach, który trzymając grube repertorium, pełnił funkcję skryby i protokołował przybyłych.

– Ulfrik Gromowładny – odczytał żołnierz, natomiast jarl wypiął zuchwale klatkę piersiową i ustawił się w szeregu wraz z wywrotowcami, którzy podróżowali na drugim wozie, a teraz oczekiwali na dalszy rozwój wypadków.

W międzyczasie paru miejscowych przyszło gapić się na egzekucję, a widząc dowódcę rebeliantów, ten czy ów począł wołać: „Śmierć gromowładnym!”, „Do grobu z szujami!”, „Niech żyje Cesarstwo!”. Inni, słysząc to, przybiegli co tchu i grzmieli zgoła przeciwnie: „Chwała pokonanym!”, „Skyrim należy do Nordów!”, „Przepędzić elfie marionetki z naszej świętej ziemi!”. Wzmógł się ostatecznie taki tumult, że żołnierze stanęli w rzędzie i tarczami zmuszali gapiów do odstąpienia, posuwając się wolno naprzód. Miarka przebrała się, gdy ktoś z tłumu cisnął kamieniem, który ze świstem przeleciał obok eminentnego czerepu pani kapitan i rozbił się huczliwie o ścianę. Ta natomiast, cięta jak osa, dała lakoniczny rozkaz:

– Rozpędzić tę hołotę na cztery wiatry!

Bojownicy jęli popychać brutalnie ciżbę, batożyć co bardziej niepokornych i pośród złorzeczeń oraz jęków niezadowolenia czynili zabiegi, ażeby wypełnić instrukcję. Nie zdało się to na wiele, bowiem wypłoszona z majdanu gawieź gromadziła się licznie na gankach swych domostw lub wspinała się na dachy, skąd widok miała przyzwoity, a nikt nie mógł zabronić gospodarzowi w jego larach i penatach choćby i wyprawiania harców.

Po opanowaniu hałastry ordynans powrócił do czytania wykazu z imionami podsądnych:

– Ralof z Rzecznej Puszczy.

– Oto i ja – odrzekł filut i nieproszony ciągnął mowę, jako że dostrzegł w tych okolicznościach szansę podbudowania komilitonów. – Zbyt długo dulczałem, podczas gdy drzazgi wkłuwały mi się w siedzenie. Skutkiem tego z tym większym weselem ściskam twą dłoń, gryziopórku, jak też waszmościance, bo zakładam, żeś niezamężna, krasnolico. Mniemam, że hołubisz nad podziw ptaszyny, dla których nawet na własnej czuprynie gniazdko uwiłaś.

– Ucisz się, diabelski synu! – podniosła głos urażona.

Poniekórzy legionieści podejmowali ukradkiem próby, by stłumić śmiech. Jako szeregowi podwładni dobrze znali łajdacką kompleksję pani kapitan, wiedząc, że miała każdego za psi pazur, i gdyby nie ich zależność od niej, wielu ochoczo podpisałoby się pod słowami sowizdrzała. Tymczasem skryptor, chowając rozradowaną twarz za rejestrem, kontynuował:

– Lokir z Rorikstead – powiedział, by po chwili ujrzeć lepkiego od brudu koniokrada, drżącego jak osika. – Do szeregu – nakazał.

Tamten opieszale zbliżył się do linii uformowanej przez rebeliantów w błękitnych pancerzach, wyjąwszy okrytego innym strojem Ulfrika, który bez ustanku świdrował wzrokiem stojącego trzy albo cztery kroki dalej swego największego rywala – generała Tulliusa.

Jako ostatni zstąpił ork, sądząc, że definitywnie przyszła na niego kryska.

– A ty kto? – odezwał się cesarski skryba, trzymając nad spistem gęsie pióro.

– Ja...? – wybąkał Orsimer nierozsądnie. – Golzagor gro-Barlurka – przedstawił się z wahaniem.

Legionista o długich włosach wertował listę, szukając na próżno trudnego nazwiska. Golzagor zreflektował się, że pobyt na wozie wraz z gromowładnymi, a teraz w Helgen, był sprytnie uknutą intrygą legata Fasendila, który w przejeżdżającym orszaku konnym z więźniami znalazł szansę, by pozbyć się uciążliwego jeńca. Z drugiej jednak strony, głowił się, może rzeczywiście w Skyrim sankcje za szmugłowanie niedozwolonych preparatów są tak poważne? Podjął postanowienie, aby zaprezentować swoje racje na forum publicznym, wykorzystując ostatnią szansę na ułaskawienie.

Wtem w powietrzu rozległ się grzmot brzmiący jak uderzenie pioruna, jednak niebo jaśniało błękitem, a z rzadkich chmur nie miała prawa spaść choćby kropla deszczu. Zgromadzeni zadarli głowy, zdając sobie sprawę, że huk dźwięczał w osobliwy sposób; nastąpiło po nim echo, które niosło się między zabudowaniami, a przypominało raczej czyj zniekształcony głos z wnętrza studni. W dźwięku tym tkwiło coś złego, jakby demon przemówił na moment z czeluści, aż wszystkich przeszedł dreszcz grozy. Opanowany dotąd generał Tullius zaniepokoił się, bezwiednie kładąc dłoń na rękojeści miecza, zaś Ulfrik i reszta gromowładnych zdawała się nie mniej zatrwożona.

– Cóż to było, u licha? – przemówił któryś z żołdaków.

– To bez znaczenia – burknęła nadąsana przywódczyni kawalkady. – Kontynuujemy. A co do ciebie – rzekła do orka – idziesz ze wszystkimi, kanalio.

Orsimer chciał zaprotestować i zabrać głos, ale dwóch legionistów pchnęło go na bok i w okamgnieniu znalazł się między Lokirem a Ralofem. Cesarski urzędnik zamknął księgę, jako że

dopełnił swych obowiązków, zamienił kilka słów ze wzbudającą niechęć panią kapitan i udał się w stronę warowni.

Tymczasem Tullius wystąpił na środek i przystanąwszy w pobliżu kata w czarnym kapturze, wygłosił przemówienie skierowane w zasadzie wyłącznie do wodza świątoburców:

– Ulfriku Gromowładny! – rozpoczął szlachetnym głosem. – Wielu twych popleczników uważa, żeś zacnym farysem, któremu wszelkie przeciwności niestraszne. Nie neguję twej odwagi w boju. – Pozwolił sobie najpierw na komplement, lecz jarl nie mógł tego skomentować, ponieważ nadal miał zakneblowane usta. – Prawdziwy bohater docenia jednakże wartość lojalności, nawet jeśli nie dzieli przekonań z tymi, którym przysięgał wierność. Podniesienie ręki na Najwyższego Króla Skyrim jest zbrodnią, a zabicie go podstępem w niehonorowej walce... – Uczynił pauzę, szukając odpowiedniego słowa. – Barbarzyństwem sprawiającym, że nie różnimy się od zwierząt – dokończył, a smuga światła padła na jego zbroję, połyskując złotem zjawiskowych zdobień. – Dekapitacja to kara za tę nikczemność. Te same sankcje obejmują też spiskowców – dodał jakby od niechcienia. – Prawo jest święte, Cesarstwo jest prawem. Niech żyje Titus Mede II! – zakończył niczym instygator i odsunawszy się, skinął na oprawcę.

Zaraz podniosły się krzyki publiki z oddali: „Frantowski sylogizm! Chcesz powiedzieć, że Cesarstwo jest święte?!” „Wyzwał go na pojedynek i uczciwie zwyciężył! Nikogo nie zamordował!”, „Dajcie mu przemawiać!”, ale też: „Hańba gromowładnym! Niech szeszna w Otchłani!”, „Przekłęci wichrzyciele! Uciąć im te puste łby!”. Nie zważając na wołania, wykonawca srogiego wyroku ulokował pośrodku drewniany pień pokryty dawno skrepiętą krwią, postawił po jednej jego stronie kosz dużych rozmiarów, podjął z ziemi olbrzymi topór i spojrzął na kapitan, dając do zrozumienia, że jest gotowy.

Na krótko przed rozpoczęciem kaźni ork rozpamiętywał ostatnie wydarzenia, snując refleksje nad tym, w jaki sposób został straceńcem: spotkanie Khajiita Ma'drana, który wziął go na plewy; podróż z karawaną przez góry; ostatecznie zdrada i pochycenie przez żołnieraki, zakończone wtrąceniem do turmy. Czy przez to miał dokonać żywota? Za jakie grzechy? Rozpoczął rachunek sumienia, czego nie czynił często, otrzepując z pyłu zapomnienia najistotniejsze momenty życia uciekającego jak piasek pomiędzy palców.

Wspomniał swe dzieciństwo i młodość w Cesarskim Mieście, kiedy uwielbiał chodzić po Dzielnicy Handlowej, myszkując wśród skrzyń i beczek ustawionych przed biurem Cesarskiej Izby Handlowej albo zaglądając do Orsimera prowadzącego sklep „Mieczem i Obuchem” z wyrobami dla wojów.

Subiekt, widząc świecące oczy chłopca, gdy brał do rąk praktyczne szpady, prześwietne pałasze oraz liczące tysiące lat, choć nadal skuteczne, czekany, pozwolił chmyzowi pierwaj polerować rynsztunek na zapleczu, później stawać okazjonalnie za ladą, aż wreszcie zapoznawał go stopniowo z podstawami sztuki władania bronią sieczną, opowiadając mu przy tym piękne historie o orkach rezydujących poza murami wielkich metropolii.

Wrócił myślami także do świętej pamięci przybranych rodziców, którzy nie mogli mieć własnego potomstwa, dlatego otoczyli ramionami małego orka, syna ubogiej ulicznicy i nieznanego mężczyzny, i wychowywali jak własne dziecko. Sami zamieszkiwali w lichej, zbitej z grubo ciosanych desek budzie na brzegu jeziora Rumare, i chociaż prostoduszny ojciec trudnił się zmiataniem ulic, a wiecznie radosna jak szczygieł matka gotowała w cuchnącej dziurze posiłki dla różnych wyrzutków i stojaków, starali się zapewnić jednemu synkowi godziwe warunki życia. Matula nauczyła brzdąca czytać i pisać; następnie wysyłała go do miasta, by pobierał nauki u wynajętego nauczyciela, za którym nie przepadał. Tatko rozpieszczał bachora, pozwalał mu włóczyć się godzinami i czasem przynosił po pracy słodycze – kupowane za napiwki wręczone mu przez zamożnych mieszczan w podziękowaniu za posprzątanie dziedzińca czy placu przed posesją. Ojciec nigdy nie zostawiał nic dla siebie; był tak uczciwy, że zawsze albo wręczał prezent synowi, albo składał te dodatkowe fundusze na ręce ukochanej żony, by nabyła za nie nową suknię w miejsce zniszczonych łachmanów, które nosiła uśmiechnięta. A ona i tak wymykała się nazajutrz do księgarza i wracała z książką podróźniczą dla smyka, by chociaż w ten sposób poznał kawałek świata. I dalej stała przy garach w podartych szmatach, żartując, że napadł ją dziki zwierz, lecz dał drapaka, gdy się bliżej przyjrzał jej fizjonomii.

Kiedy jako młodzieniec trafił za kratki, rodzice nawet nie krzykali. Po prostu milczeli, aż pewnego dnia ojciec powiedział mu, by tego więcej nie robił. Co pomyśleliby o nim, gdyby dowiedzieli się, że został przemytnikiem skazanym na śmierć?

Sformułował konkluzję, że nie było mu żal życia, które miał niedługo stracić, bowiem prezentowało się ono wyjątkowo męcząco i szaro. Nic nie osiągnął, większość żywiła dla niego pogardę. Wyrzucił sobie tylko to, że zawiódł rodziców – tak naprawdę jedyne kochane przez niego osoby. Popęłił wiele błędów, owszem, jednak nic, jego zdaniem, nie sprawiało, aby zasługiwał na przedwczesne wyzionięcie ducha. Cóż jednak począć? Było już za późno, by cokolwiek uczynić.

Wśród milczących gromowładnych wyciszył się nawet śmieszek Ralof, oczekując w bezgłosie na kres. Ostrze katowskiego berdysza odbiło jasność oślepiającą Golzagora.

Wtedy, ni stąd, ni zowąd, przestworza przesył ryk, podobny do uprzedniego tajemniczego grzmotu, lecz znacznie donioślejszy. Nagle, deus ex machina, coś gruchnęło, wzbijając obłok kurzu z ziemi, a gdy ork podniósł oczy pełne piasku, sądził, że postradał zmysły. Na szczycie wieży osiadł stwór, którego znał jedynie z legend. Był znacznie potężniejszy od trolla, wyglądającego przy tej bestii jak karzeł, a gdy rozłożył szare, kolosalne, pokryte błyszczącą łuską skrzydła, legionistka, patrząca się dotąd jak ciele na malowane wrota, umknęła w popłochu, pozostawiwszy skazańców. Konie natomiast spłoszyły się w kweresie i ruszyły na złamanie karku, tratując kilku wojskowych.

– Smok! – wrzasnęła uciekająca kapitan.

Monstrum zaś wydało z siebie rżący, nietypowy odgłos, ścinając orka z nóg. Nidoszły nieboszczyk przeciął bezsilnie powietrze, zatrzymując się dobre kilka łokci dalej. Mając związane przeguby, nie mógł zamortyzować upadku, dlatego walnął głową w grunt i stracił przytomność.